

Premiera „Imagine” Krystiana Lupy

SPEKTAKL OGÓLNIKÓW

Lupa pyta o przyczyny zła. O to, co ma w głowie rosyjski żołnierz, gdy morduje Ukraińców, czy o niepowodzenie duchowej rewolucji hippisów. Zbyt wiele w tych pytaniach jednak Wielkich Liter i ogólników.

Witold Mrozek

Krystian Lupa od dawna zapowiadał przedstawienie wychodzące od „Imagine”, piosenki Johna Lennona projektującej świat bez wojen, granic czy dzielących ludzi religii. W „Wyborczej” mówił: „Nie wiem, czy to jest spektakl o utopii. Może raczej o konieczności myślenia, które często, zwłaszcza po drugiej stronie »barykady«, nazywa się utopijnym”.

Wojna w Ukrainie nadała w międzyczasie tematowi dramatyczną aktualność. Powstał spektakl bardzo mocno odnoszący się do naszego „tu i teraz”. Pytanie tylko, jak najsłynniejszy polski reżyser połączył swoją skłonność do ezoterycznych rozważań z bieżącą społeczną diagnozą czy komentarzem.

„Imagine”, spektakl z warszawskiego Teatru Powszechnego, którego premiera odbyła się w sobotę, ale nie w Warszawie, lecz w Łodzi na Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych, zaczyna się od spotkania. Przedstawiciele pokolenia, które Lupa w wywiadach nazywał „pokoleniem marzycieli”, zbierają się pod przewodnictwem Antonina – można się domyślać, że chodzi tu o Antonina Artauda (1896-1948), francuskiego aktora, reżysera i twórcę wizji teatru okrucieństwa, związanego przez pewien czas z surrealistami. W czymś w rodzaju zebrania widm, odbywającego się jakby poza czasem, biorą udział m.in. Janis Joplin (1943-70) czy grana przez Annę Ilczuk eseistka Susan Sontag (1933-2004) – tutaj obsadzone w rolach dawnych uczennic czy nawet wyznawczyń Antonina.

Podobnie jak choćby w odnoszącym się do Andy’ego Warhola „Factory” Lupa wraca więc do ulubionego przez siebie motywu artystycznej komuny, towarzystwa wrażliwych dusz. Tu: w ramach osobliwego sympozjonu, rozpamiętujących przyczyny własnej porażki – czyli niezrealizowania wizji z tytułowego utworu. Wielkim nieobecnym jest sam Lennon, który – zamordowany w 1980 r. – nie żyje w onirycznym świecie Lupy jakby bardziej niż np. Janis.

LENNON ZMARTWYCHWSTAJE

„John Lennon nie żyje!” – ogłoszenie tego swoim równie przecież martwym dziś gościom zajmuje Antoninowi przeszło godzinę. Po kolejnej godzinie jednak Beatles zmartwychwstaje, po wszczętej przez



• „Imagine”, spektakl z warszawskiego Teatru Powszechnego, w reżyserii Krystiana Lupy FOT. NATALIA KABANOW / TEATR POWSZECHNY W WARSZAWIE

postać Lucy (Michał Czachor) rytualno-ekstazyjnej grupowej inkantacji „Skowytu” Allena Ginsberga. Patrząc na zegarek, bo w czasie spektakli Lupa czas płynie to szybciej, to wolniej. Gdy grany przez Michała Lachetę Lennon-Chrystus przemawia do uczniów (swoich? Antonina?), a oni chcą ujrzyć jego rany, niczym apostoł Tomasz, jest dokładnie 21.37.

Antoninem jest tu trzech aktorów. Pierwszy to Grzegorz Artman – kreowany tu na kogoś w rodzaju umierającego jurodiwego, świętego starca otoczonego przez wyznawców. Drugi – Andrzej Klak – jeden z najmocniejszych aktorskich punktów przedstawienia. Klak potrafi niby najprostszą scenie nadać hipnotyczną energię – jak np. w sekwencjach rozgrywających się na „pustyni”, rozumianej tu tradycyjnie jako miejsce duchowej próby, w post-apokaliptycznym krajobrazie odtwarzanym na scenie za pomocą wideo. Chwilami rozmawia tylko z samym reżyserem, który – jak zwykle w ostatnich przedstawieniach swojego autorskiego – jest obecny na scenie poprzez własny głos; siedząc na widowni z mikrofonem, pomrukuje, podśpiewuje, poddaje aktorom uwagi do wewnętrznego monologu albo zwraca się wprost do publiczności z komentarzami. W scenie z Klakiem ironicznie przeplata rozważania Antonina wypowiedzianymi z żartobliwym przekąsem frazami z Wielkiej Improwizacji z „Dziadów” Mickiewicza.

Wreszcie, Antoninem trzecim jest Piotr Skiba, towarzysz twórczej drogi Krystiana Lupy od czterdziestu pięciu lat – pierw-

szy raz zagrał u reżysera w Jeleniej Górze w 1977 r., a od połowy lat 90. występował praktycznie wyłącznie w przedstawieniach Lupy (wyjątkiem było „Auto da fé” Pawła Miśkiewicza w 2005 r.). Co ciekawe, w „Imagine” Skiba pojawia się gościnnie jedynie na ostatnie trzynaście minut tego pięćipółgodzinnego spektaklu, w sekwencji praktycznie solowej.

Jest już pierwsza w nocy, Skiba wykonuje ekstazyjny taniec i uderzając w bęben agresywnie, szaleńczo wyrzuca z siebie monolog Artauda, inaczej niż w pierwszych scenach, tu już obdarzonego nazwiskiem; monolog piewcy okrucieństwa i niekonsekwencji ludzkiego życia. Na scenie nie ma nikogo z aktorów Powszechnego, Skibie towarzyszy jedynie Antonin czwarty – a właściwie Antonina, grana, również gościnnie, przez Martę Ziębę – w ramach obrazu androgynicznego dopełnienia płciowych opozycji, figury wziętej z uwielbianego przez Lupę Carla Gustava Junga.

CZŁOWIEK PRZEZ WIELKIE C

Problem z „Imagine” tkwi jednak nie w sposobie kreowania scen, lecz w tym, co niosą one ze sobą; nie w tym, jak się wystawia, ale co jest wystawiane. Zdaje się w wielu momentach, że Krystian Lupa wystawia po prostu swoje notatki z prób, często publikowane przy okazji wcześniejszych premier, chociażby w postaci fragmentów dzienników – albo swoje wypowiedzi z wywiadów poprzedzających premierę. Są tu więc pytania o przyczyny zła; o to, co ma w głowie rosyjski żołnierz, mordując Ukraińców; o niepowodzenie duchowej rewolucji hippisów czy o to, dlaczego spalili się w proteście na pl. Defilad Piotr Szczepny, kolejny już raz – po „Procesie” według Kafki – przywoływany u Lupy.

Rzecz w tym, że te pytania nie uwierają, nie wprowadzają odbiorcy w zaniepokojenie, konfuzję czy choćby krytyczną refleksję – zbyt wiele w nich Wielkich Liter, ogólników, czasem banałów, przeszlizgiwania się po konkretach, przechodzenia od koszmarny wojny do rozważań o tym, czy czło-

wiek jest dziś gotowy do przeżycia prawdziwej iluminacji.

Właściwie zaś Człowiek przez wielkie C – bo dla Lupy istnieje Człowiek i jego kondycja, a nie mechanizmy rządzące społeczeństwem. Oczywiście Lupa jest wybitnym inscenizatorem i autorem szalenie inteligentnym, uformowanym przez wielką literaturę, przede wszystkim austriacką – dlatego w sceniczny mechanizm „Imagine” wmontowany jest cały szereg autoironicznych bezpieczników, nawiasów sygnalizujących dystans, kolejnych poziomów iluzji i deziluzji, od kąśliwych uwag rzucających sobie przez postaci-aktorów, gdy ktoś z nich zapaści się za daleko w egzaltowanych rozważaniach, po... wizytę zadających pytania rozedrganym Ziemiąnom przedstawiciele cywilizacji pozaziemskiej.

Albo taka scena: pod koniec, późno w nocy, nad sceną pojawia się wielki zegar – i odlicza równe pięć minut. Leżące na scenie obnażone do pasa aktorki – teraz jako „Aktywistki” – dostają swobodę spontanicznej improwizacji. Ewa Skibińska lamentuje, że chciałaby urodzić się jeszcze raz, żeby zagrać dobrze jakąś scenę, którą w swoim odczuciu na premierowym pokazie „Imagine” zepsuła. Anna Ilczuk – mówi o tym, że cały świat czeka tak naprawdę na śmierć cywilów ukrywających się w piwnicach Mariupola – by sprawa ta wreszcie się skończyła, by o nich zapomnieć. I choć jej zdania brzmią może najdobitniej ze wszystkich wypowiedzianych w „Imagine”, to nadana scenie rama „rozważań na czas w stylu dowolnym” jakoś je unieważnia. „Activists discussing current issues” – takie, celne przecież, streszczenie tej pięćominutowej improwizowanej sceny dostają czytelnicy angielskich napisów zamiast dokładnego tłumaczenia. Wygląda to trochę, jakby Lupa mówił, że nie po to jest teatr – a jednocześnie właśnie taką scenę tu ustawia.

Pytanie jednak, co zostaje z myśli „Imagine”, gdy obierzemy ją z tych wszystkich, nieraz bardzo atrakcyjnych, odbijających spojrzenie i światło warstw. Manifest twórcy, który zdaje sobie sprawę z beznadziejności i nieadekwatności stawianych przez siebie pytań, ale w imię widm nie przestanie ich zadawać? ●

Zdaje się w wielu momentach, że Lupa wystawia po prostu swoje notatki z prób, często publikowane przy okazji wcześniejszych premier, chociażby w postaci fragmentów dzienników